Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

PISMO MŁODYCH RUCHU AGUDAT HANOAR HAIWRI „AKIBA".



CEIRIM

ROK 5. TOM I.

Nr. 19

1 września 1935 | Kraków-Lwów-Warszawa | 4 Elul 5695

Abonament kwartalny zł. 1. | Cena egzemplarza 20 gr

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, Jasna 2.

Fot. Olek S.

Leteawon!

Z PIEŚNI KOLONIJNYCH

Hach, patisz...

Kuj, uderzaj, wal, mój młocie!
Poprzez piaski szosy się kładzie!
Przesądziliśmy los twój — zbudź się —
Pustynio! Idziem zdobyć cię!

Kocioł w ogniu wre!
Kilof skały tnie!
Hejże! Głowy w górę!
Mocne dłonie me!

Kuj, uderzaj, wal, mój młocie!
Poprzez piaski szosy się kładzie!
Przesądziliśmy los twój — zbudź się —
Pustynio! Idziem zdobyć cię!

Smoła z kotła dymi, —
Tak rękoma swemi
Krwią poplamionemi
Walczy człek w pustyni!

tłum. Ben-Dow.

JEDEN DZIEŃ KOLONIJNY

Za nami — kolonja.

Przed nami — nowy rok pracy.

Nim jednak w jej wir się rzucimy, poślijmy ostatnie spojrzenie za siebie. Ogarnijmy niem cały łańcuch dni kolonijnyuh, pieśnią i radością, życiem i pracą tętniących. Utrwalmy w pamięci jasny i barwny obraz naszej kolonji! Niech jako pełna, doskonała całość wyryje się w naszych umysłach! Niech pozostanie tam, niby wzór lepszego życia, wzniosłego — a prostego.

Niewiele trzeba słów.

Wystarczy odmalować jeden dzień kolonijny. Od pobudki — do straży nocnej.

Przypatrzmy się bliżej, a zobaczymy, że w każdej chwili tryska nasza radość młodzieńcza, z każdego momentu bije duch życia kolonijnego. To nie nadzwyczajne przeżycia.

To tylko jeden prosty dzień kolonijny.

POBUDKA

Hej! Pobudka!

Jest piąta nad ranem. Wszystko jest pogrążone w głębokim śnie. Dookoła niezmącona cisza, tylko w oddali słychać przeciągły, cichy, szum drzew niedaleko szemrze cicho srebrzysty strumyk wody. Nagle wśród tej ciszy rozlega się przeciągły odgłos trąby. —

Hej! Pobudka!

Wśród pól i lasów brzmi ochocza pieśń do pracy; Hej młodzieńcy, do pracy, do pracy.

„Wstał dzień nowy, nowe rano pełne radości i słońca, natchnijcie wasze serca! Wstańcie do nowej pracy!"

Do pracy!

I echo roznosi się po polach, lasach, górach i unosi się gdzieś hen w przestworza...

Mimowoli wszyscy wstają, leniwie podnoszą głowy ale spać się chce... Kładą się spowrotem. Szybko wstają wszyscy, bo nie wypada aby skaut był opieszały, odziani w koce wybiegają gromadą na polanę. Tu odśpiewujemy hymn poranny...

Praca już rozpoczęta.

Regina z plugi Alizot.

ROZPRĘŻMY MIĘŚNIE

Ręce w bok!

Ręce w górę!

Teraz ćwiczenia kończyn dolnych!

Donośny głos Jicchaka przegnał resztki snu. Twarze błyszczą śmiechem, oczy nabierają wyrazu.

Młode, prężne ciała wyginają się w rytmie rozkazów, aż trzaskają stawy. I boli. To nic — to zdrowe!

Słońce poczyna prażyć bronzowe ciała. Jakby dopomóc chciało wysiłkom Jicchaka. Tężyzny nabierają muskuły; drgające pod opaloną skórą — zdrowie to, do pracy, do czynu...

Hej naprzód! hej żwawo!

Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dw...

Każdy sprężysty ruch to krok od ociężałości golusu, każde przegięcie — krok naprzód.

Szkoda, że tak szybko mija godzina gimnastyki!

Dobrze jest rozhuśtać ciało w zgodnym rytmie.

NAD RZEKĄ

Pluton „„„Pirchachot"!

Riwka nas woła!

Jesteśmy przecież za Tobą — czemu krzyczysz? — ha-ha-ha! A to łamaga! Chodźże ofiaro szybciej!

Przyszłyśmy nad brzeg rzeki. Płynie sobie rzeka, natrafia na przeszkody i szemrze sobie zcicha. A wtem cichy jej szmer zostaje zagłuszony naszym śmiechem i gadaniem.



Fot. Olek S.

— Wiecie, w niedługim czasie ma być wycieczka!

— O, żeby była już jutro.

— Dziewczęta! — Co się stało?

Ha-ha-ha! Mydło jej wpadło do wody! Czego stoisz i krzyczysz? Już i tak fala je poniosła!

— Mam rybę! — rozlega się głos Rózi. Z wielkim trudem goni po kamieniach, chlapiąc na wszystkie strony.

Woda rozpryskuje się dokoła. Ktoś tam nabiera pełnemi garściami wodę i wylewa na plecy towarzyszki. Tam znów widać mały wodospad. Już ktoś nogi podeń podstawił. „Wodospad" załamuje się i z większą jeszcze siłą odskakują krople daleko. Słońce lśni w powierzchni wody, przegląda się w mokrych ciałach, zagląda nam w oczy.

A nad tem wszystkiem góruje nasz gwar i śmiech.

Chawa.

PRZY T'NACHU

Słońce już grzeje.

A kiedy siedzisz na trawie, a niewyschłe jeszcze krople rosy porannej serdecznie się do siebie uśmiechają w niczem niezmąconej ciszy, wobec piętrzących się gór, mają dla ciebie słowa czytane z Tnachu jakieś specyficzne znaczenie. Ulegasz jakiejś niewysłowionej metamorfozie i rozumiesz gniewne słowa proroka. Sam stajesz przy nim ramię w ramię i idziesz — do walki.

Bo inny ma charakter chug T'nachu na kolonji wśród otaczającej nas natury, inny niż w ciasnych murach.

MODLITWA

Cicho!

Rozśpiewane głosy, świeże młodością, zniżają się do cichego szeptu modlitwy.

Przy amud stoi mały chazen i modli się śpiewnym głosem. Dwudziestu młodych powtarza za nim słowa modlitwy.

Wtem — aszrejnu, ma tow chelkejnu!

Zgodny chór podchwytuje pieśń. Tak lepiej. Wogóle; zawsze lepiej razem, gdy się obok siebie widzi innych, tak samo rozumiejących...



Fot. Olek S.

Ktoś tam zauważa:

Popatrz, modlitwa żydowska jest nawskróś społeczna i narodowa. Naród wspominasz w modlitwie, nigdy siebie, swe drobnostkowe pragnienia. To jest swoista cecha naszej modlitwy...

Rozmowa się urywa. Słychać znowu melodyjny głos chazena.

Modlą się wszyscy. I ci, którzy w domu nigdy tfilin nie widzą. Szanować i pielęgnować naszą tradycję wiekową.

Modlitwa się kończy. Na twarzach widać jeszcze skupienie i powagę.

Z KOLONIJNEGO KURSU KARTOGRAFJI

PATRZMY NA MAPĘ

Nie powtórzymy dziś materjału z ostatniego kursu; przypomniemy sobie tylko, że nauczyliśmy się rozróżniać strony świata zapomocą słońca, cienia i zegarka — za dnia, gwiazd — w nocy, a kompasu — w każdej okoliczności. Nauczyliśmy się też orjentować mapą.

Dziś zapoznamy się z podziałką liczbową mapy. My posługujemy się głównie mapami sztabowemi, których skala jest 1:75000, czyli, że każdy kilometr wyrażony jest na mapie 12.5 mm. Jak się zatem orjentować w odległości przy pomouy mapy? Trasę, którą mamy przebyć, odmierzamy cyrklem, przenosimy na linijkę i ilość

wykazanych obecnie centymetrów mnożymy przez wielkość skali. W ten sposób otrzymujemy dokładną miarę długości drogi. Inaczej jest, gdy droga, którą mamy przebyć jest kręta. Wówczas układamy nitkę wzdłuż oznaczonej na mapie drogi i na każdym zakręcie przymocujemy ją szpilką, by się nie przesuwała. W ten sposób otrzymujemy dokładną długość drogi w oznaczonej skali.

Wiemy już zatem, jak mierzyć długość drogi; możemy się więc już śmiało w nią zapuścić. Należy jednak zwrócić uwagę na cały szereg znaków, umieszczonych przy drodze na mapie. Ot, widzicie tu przecież linje krzywe, zakreskowane? Czy wiecie co to są?

W a r s t w i c e. Tak, warstwica jest to linja, łącząca wszystkie punkty, na jednej wysokości leżące. Jak zatem oznaczymy wysokość góry? W miejscu, gdzie płaszczyzna przecina się z wysokością góry, powstanie znak, który właśnie nazwiemy warstwicą. Widzicie tu na mapie jedną warstwicę w drugiej? Są bardzo blisko siebie. Znak to, że góra jest stroma. Gdyby łagodnie wznosiły się zbocza, warstwice znajdywałyby się daleko od siebie. Tak to mamy możność dokładnego odczytywania wysokości różnych punktów i kątów nachylenia góry. Trudno jest jednak wytworzyć sobie plastyczny obraz ukształtowania piononego okolicy. Wówczas przychodzą nam z pomocą p r ą ż k i. Widzicie przecież te pionowe kreseczki, ustawione na mapie gęsto obok siebie. Mówią nam one, że zbocze góry jest bardzo strome. Spójrzcie jednak! Po przeciwległej stronie przerzedzają się. Widocznie tam zbocze jest łagodniejsze. Pamiętajcie — czem bardziej oddalone są od siebie prążki, tem łagodniejsza jest pochyłość.

O, widzicie! Wczoraj jeszcze ta mapa była dla was zakreskowaną kartą, — dziś już mówi do was i rozumiecie ją doskonale.

Nauczmy się wszystko z niej odczytać!

Streścili:
Towa i Olek.

MŁODZIEŃCZOŚĆ

Zabawa. Pierwsi... oczywiście Kundasim. To się rozbijają, tłuką, byle zdobyć piłkę! — Wygrać mecza. Kundasim to najlepsi zbóje, najkrwawsi rabuśnicy... największe draby. Humor tryska od każdego. Docinki,.. żarty sypią się, jak z rogu obfitości. Wszędzie i zawsze tylko humor i humor. Sama nazwa wskazuje na to, że jesteśmy urwipołcie.

Ale... niezawsze tak jest. Nieraz, gdy mamy gawędę o tem,

o czem myślimy i co zaprząta nasz umysł od dłuższego czasu — potrafimy i powagę zachować.

Siedzimy oto na szczycie góry na polance, a Szymek opowiada o Erec, o poświęceniu naszych braci dalekich. O tem, jak mogli pozostać w golusie i prowadzić beztroski żywot... Ale ci bezimienni nie pragnęli tego. Każdy z nich chciał poświęcić krew serdeczną dla ideału. Takich nam trzeba.

A każdy z nas wpatrzony jest w gwiazdy, napewno myślą nie jest tutaj. Zabawy i beztroski ani śladu.

Olek „gruby"
pl. „Kundasim".

W KUCHNI

Nareszcie odstawiono na bok maszynkę do chleba. Trzysta kromek pokrojono, posmarowano masłem. Kasza ugotowana.

— Oboźny, można gwizdać na obiad!

Była właśnie godzina pierwsza. Nie minęły dwie minuty, a na okna zaczęły wjeżdżać puste menażki. Za niemi wyciągała się ręka. Szybko — sprawnie. Cofa się ręka z porcją chleba — i druga, z dymiącą menażką. Ukazuje się druga menażka, druga ręka, a za nią — rozmierzwiona czupryna, figlarne oczy. Toda — już go też niema. Potem przyszedł trzeci — ze zmęczonemi oczyma, czwarty — z obwiązaną twarzą (to przez zęby), piąty — palnął żart, szósty — zaśmiał się cicho, następny — gwizdnął, bo parzyła menażka.


Fot. Olek S.

— Trzydzieści sześć porcyj wydano — pluga alef — załatwiona.

Stoję w kuchni — podaję chleb przez okno, a tu mi się cała kolonja przesuwa przed oczyma. Tacy różni, tacy odmienni, ale wszyscy — radośni. Nawet ci poważniejsi jakimś ciepłym uśmiechem dziękują nam, że się „o nich troszczymy".

Wtem — co to? Rewolucja?

Nie, to tylko Wataha. Idą gromadnie, rozkrzyczani, rozśpiewani. Brzęczą menażki, dzwonią łyżki, a oni wciąż wkółko.

...My chcemy marcepany
I naleśniki jeść!

Więc hura na hanhagę,
Brać lagę i ciupagę
I pastę na dodatek ,
I wysmarować ich!

Kolonijne rymy! Ale przyznać — niezgodne z prawdą! Jak ładnie bowiem uśmiechają się wszyscy, jak błyszczą im oczy, gdy prosta, tatarczana kasza dymi w menażce. Gdzież im w głowie marcepany!

Tylko, że nasi są zawsze weseli. Nawet gdy w „ogonku" na kaszę czekają.

CISZA W OBOZIE

Mijają godziny, jedna, dwie, trzy — aż w obozie cisza —

Pozornie — cisza! Oj, pracują umysły aż hej!

Ktoś tam szuka w głowie jakichś nowych pomysłów na najbliższy oneg.

Jutro kurs: „Może napisać zadanie". Najgorsza ta gramatyka! Że też ona taka ważna.

I w czytelni są ludzie.

Ładnie u nas podczas ciszy.

Nie leniuchujemy, nasze umysły nie umieją odpoczywać.

Zeejw.

PISZEMY LISTY

Godzina ciszy. Wykorzystujmy ją zazwyczaj na pisanie listów. Listy z kolonji, to jakby taśma filmowa, po której przesuwają się obrazy naszego życia kolonijnego.

Zaglądnijmy do skrzynki pocztowej. Ot — pierwszy list. To z kolonji w Kąclowej.

...I już nadchodzi punkt kulminacyjny.

Raport... Otwarcie kolonji. Długo będziemy pamiętali tę piękną uroczystość, na której postanowiliśmy, że gromadzić będziemy energję, by życie i pracę wnieść w nasze gniazda. Dlatego zniecierpliwością wyczekiwaliśmy, aż rozpocznie się normalna praca.

...Piękny był „Dzień kibucu". Choć młodzi jeszcze, chcieliśmy przecież żyć życiem pracy, społecznej — wspólnej. To też raźno szła nam robota. Po skończonej pracy mieliśmy pogadankę o kibucu. Pieśni same goniły się nawzajem. O Erec śpiewaliśmy.
Lecz czekała nas jeszcze większa niespodzianka — przyjazd Idka. Mówił tak pięknie na uroczystym raporcie! Ale niedługo zabawił z nami. Wyjechał na inną kolonję.

A raz w nocy zbudził nas alarm. W jednej chwili zerwali się wszyscy na równe nogi. W ciągu trzech minut stoją już gotowi pod masztem.
Wyruszamy na wycieczkę — ogłasza Janek. We wszystkich oczach pojawia się błysk radości.
Hurra! Wycieczka!

Henia Schwimmer
z Nowego Sącza.

■

A tu znów list z kolonji w Woli Zarczyckiej.
...Dzielimy się na dwa plutony: chłopcy stanowią pluton „L'azazejl", a my, dziewczęta: „Sewiwon". Gdy słyszymy komendę: „L'azazejl, ejlaj!", śmiejemy się głośno; dla jasności tłumaczymy na polski: Chodźcie do djabła!

A jednak nazwa stosuje się do nich. Doprawdy — zuchy z nich prawdziwe!

A i my, bąki („Sewiwonki") wiele życia wnosimy w kolonję. I nie brak pięknych chwil na kolonji. Tu straż nocna, po której musisz pokochać przyrodę. Tu alarm w nocy, który uczy cię sprawności i gotowości, a tyle daje uniesień. Tu znów pogadanki, na których uczysz się myśleć.

I wszystko jest piękne w tej Woli Zarczyckiej na kolonji.

Pepa Intrater
z Błażowej.

■

Hallo! Tu Młodzieszyn — kolonja Ceirim. Czytamy:
Kolonja nasza położona jest w pięknej okolicy... Zaledwie kilka dni bawimy na naszej kolonji, a już się wszyscy doskonale znamy. Każdy z nas odczuwa jej piękno. Przeżywamy tu wiele wspaniałych chwil...

Poszczególne dni upływają nam szybko, przyjemnie i pożytecznie... Chyba wy sami wiecie, ile jest śmiechu, gdy uda się zrobić jakąś grandę... Mieliśmy ich wiele.

Kolonja gdudu III.
w Młodzieszynie.

„CEIRIM" PRZYSZŁO

Czytelnia. Siedzimy, jak zawsze o tej porze na trawie i czytamy. Ale jakoś nikt do książki nie zagląda. Jakoś nie można. Instynktownie wyczuwamy, że właśnie w czasie czytelni nastąpi coś, co nas bardziej zaabsorbuje, niż te wszystkie książki. Jakto? Wszak tyle mądrości mieści się w tych książkach, a zawsze przecież z takiem zainteresowaniem zagłębiamy się w nie! Lecz dziś jakoś nie możemy. Niespokojnie spoglądamy ku szosie.

Idzie Jula-poczciarka. Przez płot podała jakiś pakiet.

— „Ceirim", jest „Ceirim" zawołał ktoś bliżej stojący. W jednej chwili cały gdud zebrał się w jednem miejscu. Łap-cap! Wszyscy chcieliby równocześnie oglądnąć okładkę, zaglądnąć i przeczytać nowy numer; wyrywają go sobie z rąkl

Wreszcie przyszedł Kundas Hagadol. „Ceirim" dostało się już w jego ręce. Zmarszczył brwi, przerzucił szybko kilka kartek i powiedział: klawy numer. Przeczytamy w czasie ciszy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Przeczytaliśmy w istocie. Numer był naprawdę piękny. Nad każdym artykułem zastanowiliśmy się porządnie. A numer, jak wiadomo poświęcony był wycieczce. To też po przeczytaniu jedna myśl wypełniła nasze umysły, musimy iść na wycieczkę.

I o dziwo!

Ledwo świt, następnego dnia ruszyliśmy na trzechdniową wycieczkę.

Towja-Kundas.

W CZYTELNI

JACK LONDON

OBYCZAJ BIAŁEGO CZŁOWIEKA

(Ze zbioru: Bóg Ojców Jego).

— Był sobie Moklan — rozpoczął Ebbits.

— Mocny chłop — przerwała matka. — Mógł wiosłować cały dzień i całą noc i nie potrzebował odpoczynku. Znał łososie i dobrze znał wodę. Wielką miał mądrość.

— Był Moklan — powtórzył Ebbits — zniechęcony przerwaniem. — Wiosną popłynął w dół Yukonu z kilkoma towarzyszami, żeby pohandlować w Cambell Fort. Stoi tam placówka handlowa pełna skarbów białego człowieka i mieszka kupiec, imieniem Jones. Z nim razem mieszka biały szaman, jak go wy nazywacie — misjonarz. Woda jest tam niebezpieczna, bo Yukon koło Cambell

Fort staje się kapryśny jak dziewczyna; nurt jest bystry i pełen wirów, dno całe w rozpadlinach, prądy zmieniają się ciągle, oblicze rzeki jest codzień inne. Moklan jest moim synem, a więc dzielnym chłopem.

— Czy ojciec mój nie był dzielny? — rzuciła Zilla.

— Tak, twój ojciec był dzielny — przyznał Ebbits, z miną człowieka, który za wszelką cenę chce mieć spokój w domu. — Jest synem moim i tej kobiety, jest więc odważny, może nawet zbyt odważny, spowodu swego bardzo odważnego ojca swojej matki. Tak, jakbyś zadużo wody nalał do garnka i woda zaczęła się przelewać. Towarzysze Moklana bali się bardzo złej wody koło Cambell Fort. Ale Moklan nie bał się wcale. Zaśmiał się głośno, ho! ho! i poszedł pierwszy na złą wodę. Ale wir przewrócił łódź, chwycił Moklana za nogi kręcił go wkółko, wkółko, coraz głębiej i głębiej, aż zaciągnął na dno. Nie widziano więcej Moklana.

— Aa! — Aa! — jęknęła Zilla. — Potężny i mądry był i mój pierworodny.

— Jestem ojcem Moklana — wyrzekł Ebbits, cierpliwie pozwoliwszy wyżalić się kobiecie. — Wsiadłem więc do łodzi i popłynąłem w dół do Cambell Fort, żeby odebrać dług!

— Dług! — przerwałem. — Co za dług?

— Dług od Jonesa, głównego kupca — brzmiała odpowiedź: takie jest prawo wędrówki po obcych ziemiach.

Pokiwałem głową na znak mojej nieświadomości, Ebbits spojrzał na mnie ze współczuciem, Zilla zaś warknęła pogardliwie, jak zwykle.

Posłuchaj, Biały Człowieku — rzekł stary. — Masz psa, który gryzie. Jeśli pies twój pokąsa człowieka, musisz człowiekowi temu ofiarować podarek na znak żalu i przeproszenia, albowiem zły pies należy do Ciebie. Płacisz za szkodę. Czyż nie tak? Tak samo płacić musisz za złe polowanie, za złą wodę. Tak każe sprawiedliwość. Takie jest prawo. Czyż brata mego ojca nie zabił niedźwiedź w kraju Tanana- Czyż plemię Tanana nie zapłaciło memu ojcu wielu kołder i futer? To było słuszne. Polowanie było złe i plemię Tanana musiało za to zapłacić.

Tak więc ja, Ebbits, powędrowałem do Cambell Fort, żeby odebrać dług. Jones jednak, główny kupiec, popatrzał na mnie i roześmiał się. Śmiał się głośno i nie chciał płacić. Poszedłem więc do białego szamana, czyli po waszemu misjonarza i miałem długą mowę o złej wodzie i należnej mi zapłacie. Misjonarz zaś mówił o czem innem zupełnie. Opowiadał mi, dokąd poszedł Moklan po śmierci. Jest tam dużo ognia, i jeśli tylko misjonarz mówił prawdę, pewien jestem, że Moklan nigdy już nie zmarznie. Mówił mi też, dokąd pójdę ja, kiedy umrę, ale mówił źle. Mówił, że jestem śle-

py, co jest kłamstwem. Mówił, że żyję w ciemnościach, co jest również kłamstwem. Odrzekłem mu więc, że noc i dzień jednakie są dla każdego człowieka, i że w mojej wiosce jest równie jasno, jak w Cambell Fort. Pozatem powiedziałem mu, że światło,, ciemność i miejsce, do którego pójdziemy po śmierci, to co innego, a należna mi zapłata za złą wodę — też co innego. Wtedy misjonarz rozgniewał się bardzo, nazwał mnie niedobremi imionami i kazał iść precz. Tak więc wróciłem z Cambell Fort, nie oddano mi należnego długu, Moklan zaś zginął i oto na stare lata nie mam ryby ani mięsa.

— Z winy białego człowieka — dokończyła Zilla.

Z GAZETKI KOLONIJNEJ

PROJEKT

Jednym z moich projektów byłoby wprowadzenie w życie dzienniczka kolonijnego. Byłoby to pismo, prowadzone przez jedną osobę, któraby humorystycznie opisywała każdy miniony dzień na kolonji. Prócz tego każdy mógłby coś do takiego dzienniczka napisać. Przy kolacji odczytanoby ten dzienniczek. Obrazowałby on życie kolonijne, a niektóre ciekawsze wyjątki mogłyby być odczytywane we wszystkich gniazdach dla ludzi, którzy na kolonji nie byli, lub mogłyby być wpisane do gazetek plutonowych, czy też do „Ceirim”.

Szoszana.

NASZ HUMOR

REWOLUCJA

Bez trąbki i gwizdania
Kierowników na hak!
Ni jadła, ani spania —
I cóż to ma za smak ? —

Więc hurra, na hanhagę!
Brać lagi i ciupagę
I pastę na dodatek —
I wysmarować ich!

Kolonję Jasiu męczy,
A Alek młodszą brać —
Hej „żłoby”, młodsze gdudy! —
Nie trzeba im się dać!

Więc hurra...

W obozie jest bałagan
W tem ręka Lonka tkwi —
A Alek sekunduje...
O tem się dobrze wie...

Więc hurra...

Chaim, Dunek zmykajcie
I weźcie Benka też —
Hanhagę zlikwidować,
Bo rewolucja jest ! ! !

Więc hurra...

Precz z dyktaturą w kuchni
I z hanhagą też !
My chcemy naleśniki
I marcepany jeść !

Więc hurra...

„MUTRA"

Że my — „technicy" — to wiadoma rzecz.
Że — oryginalni — tembardziej.

A więc stworzyliśmy własny słownik. Jak? Zupełnie przypadkowo. Mutra, zaczątek słownika powstała ni w pięć ni w dziewięć.

Działo się to tak:

Jedziemy na kolację, pierwszorzędne humory, sypią się żarty. Wtem jakiś z przyszłych Kundasim odzywa się het skądś z góry z bagażniką (Bóg sam jeden wie, skąd się tam dostał, taki mały): Mutra ci w zęby. Niby — milcz, nie przeszkadzaj spokojnie śpiącemu człowiekowi.

— Czemu mutra? Tak, ot mu się wymknęło. Przecież: Technika w życiu codziennem! I tak już zostało.

Zwycięski swój pochód zaczyna mutra od chwili, gdy wszędobylskie Kundasy odkryły w intendanturze starą, wielką maszynę parową, istną kopalnię muter.

Teraz to wślad za „mutrą" posypały się inne wytwory słownictwa Kundasów, lecz „mutra" stała się już tradycyjnem powiedzeniem. Rozpowszechniła się wkońcu tak, że na każdym kroku

słyszało się: „mutra ci w zęby". A nietylko my, gdud trzeci przyjęliśmy ją ochoczo, lecz i gdud drugi przejął się jej urokiem. Cała kolonja była opanowana.

Nie na tem jednak koniec. Szukamy symbolu Kundasów, któryby nam przypominał chwile razem spędzone na kolonji. Oczywiście symbolem stała się mutra. Wszystkie krawaty „uginały" się pod ciężarem żelaza.

Teraz był już zupełny triumf mutry. Kundasy, zaopatrzeni w wszelkiego rodzaju klucze francuskie i obcęgi „wyludnili" pobliskie okolice z muter możliwych do odkręcenia.

Stała się ona symbolem wszelkiej zaradności, sprawności i zręczności.

A my, Kundasy takimi przecież chcemy być!

Jeden z Kundasim.

SAMI

Szaro w chederze. Deszcz pluska o szyby. Siedzimy wokoło i śpiewamy cicho. Myśli nasze błądzą wraz z wycieczką. Myślimy, co też oni tam robią podczas deszczu. Już niema tych, którzy żartują, śmieją się.

Na mnie osobiście dzień ten wywarł smutne wrażenie. Brak mi było śmiechu, gwaru wielu młodych ludzi. No, ale przecież kiedyś się to skończy, wtedy już będziemy razem.

Hawa.

KOLACJA

Świetnie, że już Iziek gwizdał na kolację, bo mi kiszki porządnie marsza grają — usłyszałam czyjś głos pod koniec pogadanki. Rzeczywiście — gwizd wzywał nas na kolację. Dyżurne pobiegły po naczynia. A my tymczasem śpiewamy.

Już zupa dymi się ze wszystkich menażek. Leteawon — hasło do rozpoczęcia kolacji. W istocie wszyscy zajadają smacznie. Gdy wtem — no, nic strasznego. Mała tylko pomyłka. To Lulka kolacja, zamiast w jego ustach, znalazła się na spodniach. Wśród hucznych gratulacyj wychodzi bohater z kwaśną miną — musi zmienić spodnie.

Widocznie miał mutrę w zębach i nie mógł połknąć jedzenia — komentuje Zyga.

Wśród żartów kończymy kolację.

Hela.

GAWĘDA WIECZORNA

Trzeba się spieszyć, szybko umyć naczynia po skończonej kolacji.

Już od kilku dni wybieramy się na wieczorny spacer, ale zawsze po kolacji deszcz pada. Dziś jednak pójdziemy nieodwołalnie.

Ustawieni w szeregi — wyszliśmy. Z szosy zboczyliśmy na wąską ścieżkę, prowadzącą do lasu. Szliśmy w milczeniu. To cisza nocna tak się nam udzieliła. Słychać tylko szum drzew, bzykanie konika polnego i odgłosy naszych kroków.

Usiedliśmy na małej polance, wśród wysokich drzew.

Ładnie ułożyły się nam pieśni; śpiewaliśmy poważnie i szczerze.

Zbliżała się burza. Gzygzaki błyskawic raz po raz przeszywały niebo, a zdala dochodził głuchy huk grzmotu.

Staraliśmy się nie zwracać na to uwagi. Było nam tu tak dobrze, czuliśmy się silni i pewni; najstraszniejsza nawet burza nie mogła obudzić w nas strachu.

— Zbliżaliśmy się właśnie ku szczytowi, gdy spotkała nas straszna burza — popłynęło opowiadanie.



Fot. Olek S.

Było to właśnie ubiegłego roku. Centralna kolonja z Bańskiej Wyżnej wyruszyła w Tatry. I w chwili, gdy parli w górę, rozszalała przeciw nim natura, deszcz lał niemiłosiernie, chcąc spłukać ich ze skał. Ale wbrew i naprzekór jej parli naprzód, aż zwycięzcy zaśpiewali:

אף על פי כן

I myśmy podchwycili tę pieśń. Ale deszcz zmusił nas do powrotu. Byliśmy już w obozie, gdy rozszalała się burza, grad walił w dach, a deszcz potopem spływał na ziemię.

Jeszcze jedna morowa „horra" i ostatnia pieśń wieczorna: Lajla ba!

Gena.



STRAŻ NOCNA

— Zazdroszczę tym, którzy już kładą się spać. Ja muszę jeszcze dwie godziny chodzić po obozie — usłyszałam śpiący głos „Cioci Pauli".

— Chodź Paula pod okno Kundasów, usłyszymy coś nowego o sporcie — zaproponowałam, by położyć kres jej narzekaniom.

Nie omyliłam się. Nad sypialnią chłopców górował głos Kajtka; z powagą ogłaszał wyniki meczów krakowskich. „Kajtek, daj już spokój! Jutro dokończysz — chcę spać!

Parsknęłyśmy śmiechem — i dalej obchodzić obóz. Okrążałyśmy go wielokrotnie, a ile razy stanęłyśmy pod chederem dziewcząt, dolatywały nas jeszcze chichoty i szepty, lub tupot bosych nóg.

Wreszcie na całej kolonji zapanowała cisza.

Rozglądnęłyśmy się wokoło. Noc była piękna, niebo usiane gwiazdami. Drzewa rzucały długie cienie, a wiatr przemykał się między gałęźmi. Cicho było wokoło, więc i my porozumiałyśmy się w milczeniu. Wszystko wydawało nam się dziwne i tajemnicze.

Ani się spostrzegłyśmy, jak upłynęły dwie godziny. Czas było budzić następnych strażników.

Długo trzeba było budzić śpiochów. Wreszcie oddałyśmy im straż. Czy i ich straż tak piękna będzie, jak nasza?

Hela.

GRANDA

Głucha cisza... Ciemność. Śpimy snem twardym, zmęczeni po upalnym dniu. W chederze spokój. Nikt się nie rusza (bo „słonie" nie pozwalają). Cicho... wtem — wtem — co to? Ktoś mnie szarpie.

— Pali się! Pożar! Na pole!

W chederze hałas. Zrywam się. Za sobą ciągnę koc. Jestem oszołomiony. Nic nie widzę, nic nie słyszę.

— Pożar! Uciekaj!

Wybiegam z chederu. Nogi same gonią, a ja za niemi. Gdzie się pali? Ciemno. Obok mnie przesuwają się cienie. Zbliżam się do nich. Są okryte kocami i śmieją się.

— Ale się „granda" udała!

Rozjaśnia mi się w głowie, lecz jeszcze nie rozumiem. Fałszywy alarm. Granda. Poco? Czy tylko dla rozrywki? Nie... Dolek przyjechał — podobno.

Towia.

DZIEŃ KIBUCU

Wcześniej, niż zwykle zbudził nas oboźny. Był to bowiem dzień kibucu. Nie było chwili czasu do stracenia. Trzeba było iść w pole — do pracy. Wszystkie serca biją nam radośnie.

Pracowaliśmy — a z góry prażyło nas słońce. Złudzenie, że pracujemy w Erec, że to żar słońca palestyńskiego, a nasza praca — to praca chalucim na ziemi żydowskiej. Rzeczywiście — złudzenie. Ale przytem też wielkie zadowolenie i radość tworzenia.

Wygłodzeni idziemy na obiad.

Wtem radosna wieść przyszła: Idek przyjechał! Nie wierzyliśmy zrazu, ale wnet przyszedł sam, by potwierdzić prawdziwość wieści.

Zwołano uroczysty raport. Ogromnie podobało mi się to, co Idek mówił. Szczególnie przemawiała do mnie serdeczność i prostota, z jaką Idek mówił do nas. I właśnie dlatego głębokie wrażenie wywarły na nas jego słowa, w których przypominał o wielkiej odpowiedzialności, ciążącej na naszym ruchu.

Na zawsze utkwiły nam te słowa w pamięci.

Lifcia Spatz
z Nowego Sącza.

W PIĄTEK WIECZÓR

(tłum. z niemieckiego).

Jest piątek.

Już skończył się obiad. Trzeba przygotować się na przyjście soboty. Gruntownie posprzątać trzeba. I cheder ozdobić — odświętnie. Ludzie zajęci, uwijają się tam i spowrotem. Każdy ma zajęcie. Każdy pracuje.

Wreszcie już wszystko gotowe.

Wszyscy wdzialiśmy już koszulki.

A tymczasem zmrok zapada. Zapala się świece. Siadamy do stołów-sienników biało nakrytych, pięknie ozdobionych kwiatami. Lampa naftowa daje słabe światło. Na wszystkich twarzach odbija się wzruszenie. To uroczystość chwili działa. Szabat. Głęboka cisza osnuwa cheder.

Modlitwa wieczorna.

A po niej — kolacja piątkowa.

Kilka pięknych pieśni sobotnich — i minął wieczór.

Ale wspomnienia po nim zostały.

Rosa „von Europa".

PŁONIE OGNISKO

Noc... na granatowem tle nieba migotają miljony srebrnych gwiazd. Nikłe światło pada na szarą ziemię, gdzie siedzi gromada ludzi. A pieśń na ich ustach. Pieśń to pełna młodzieńczej siły, ochoty do pracy. Pieśń leci wgórę za iskierkami, które odrywają się od ogniska i ulatują w powietrze. Płomienie skaczą, wspinają się wysoko tak, jak ongiś naród żydowski wzbijał się wysoko i... o dziwo... ten wspaniały, potężny naród, wielki w swej szlachetności — runął i potoczył się, jak kamień z wysokiego szczytu. Zdawaćby się mogło, że naród żydowski nie zdoła dźwignąć się z tej wielkiej przepaści. Ale nie! Właśnie w tej ciężkiej chwili zrodziła się myśl, piękna i potężna: walka z ciękiem jarzmem golusu i odbudowa prastarej ojczyzny.

Rósł płomień, rósł — a potem malał, aż zgasł.

Ale naród żydowski wiecznie będzie istniał i wiecznie płonąć będą serca miłością ku niemu.

Mirjam.

Na fali czasu.

XIX. KONGRES SJONISTYCZNY.

W Lucernie, pięknej miejscowości szwajcarskiej, wśród wspaniałej panoramy Alp — otwarty został w dniu 23 sierpnia XIX. Kongres Sjonistyczny.

W ciężkiej chwili zbiera się Kongres, gdy zzewnątrz grozi na każdym kroku niebezpieczeństwo i zguba czyha na naród ze wszech stron. Alija do Palestyny — ograniczona do minimum; towary niemieckie zalewają rynki palestyńskie; żydostwo rosyjskie ginie. A gorszy jeszcze wróg wewnętrzny: rozbicie i rozbieżność dążeń.

Kongres Sjonistyczny — to najwyższa instytucja w narodzie. Tu od pierwszej chwili decydowano o losie narodu, stąd wychodziły wszystkie postanowienia, tu zresztą powstał i dojrzewał sjonizm. To też, gdy źle jest w narodzie — ku Kongresowi zwracają się wszystkie oczy; Kongres ma rozwiązać wszystkie problemy, naród nurtujące.

I dziś z niecierpliwością na Kongres czekano. Ale i z niepokojem. Czy zdoła Kongres rozwiązać wielki węzeł gordyjski cierpień i zawikłań, jaki omotał się dokoła narodu? Czy stanie na wysokości swego zadania?

Od dziesięciu dni odbywają się narady. Z całego świata zjechali Żydzi-sjoniści, by radzić nad losami narodu. Od dziesięciu dni

bez przerwy niemal odybwają się komisje, posiedzenia, dyskusje.

Lecz czy owocną okaże się praca Kongresu? Czy słusznemi torami idzie? Źle jest, cała energja Kongresu rozbija się o walki między stronnictwami. Jedno było jasne: bez zgody niczego postanowić nie można. To też rozpoczęły się rokowania dla zawiązania koalicji. W dziesiątym dniu obrad z ulgą odetchnął Kongres: poglądy zostały w najogólniejszych zarysach uzgodnione.

Teraz stoi przed Kongresem dalsza praca. Najważniejszym zaś jej punktem winno być wytyczenie nowych linij pracy — a raczej współpracy — wszystkich odłamów, rozwiązanie wielu problemów kultury żydowskiej, języka hebrajskiego i in. Końcowym czynem Kongresu będzie wybór nowej Egzekutywy i jej prezydenta.

●

Z dnia na dzień ostrzejsza staje się kwestja arabska w Palestynie. Coraz częściej zdarzają się wypadki, gdy nagle wpadają na placówkę pracy żydowskiej, by przeszkodzić i uniemożliwić dalszą pracę. Cogorsza — rząd palestyński, który winien przecież bezstronnie osądzać sprawę, szuka zawsze winy po stronie Żydów, przez co zaciemnia się jeszcze horyzont robotnika żydowskiego. Jakżesz wymownie świadczy o tem ostatnie

STARCIE W KFAR TABUN

W czasie pracy na roli zostali Żydzi napadnięci przez Arabów, skoro jednak bronili się, doszło do bójki, w której padł jeden Arab. Zaaresztowano dwuch Żydów — zato, że nie dali się wyprzeć z placówki pracy.

I w Hule nie dają spokoju. Odnowili swoje stare roszczenia do kilku dunamów ziemi, przez co rząad palestyński zarządził

WSTRZYMANIE ROBÓT W HULE

na okres 3-ch miesięcy. Fakt aż nadto wymowny. Dla kilku dunamów ziemi, o które słusznie, czy niesłusznie upominają się Arabowie — wstrzymuje się pracę na całym wielkim obszarze nowonabytej ziemi.

Nic jednak nie zdoła powstrzymać bujnego życia palestyńskiego w jego niepohamowanym rozwoju.

Powstał projekt, by następny Kongres Sjonistyczny odbył się już w Erec Israel. Słuszny rzeczywiście projekt. Z tej też przyczyny przystąpiono do planu budowy

GMACHU KONGRESOWEGO W TEL-AWIWIE.

Nareszcie Kongres nie będzie musiał szukać gościny w obcych państwach.

●

W świecie książek.

Dzisiaj podam cały szereg lektur znanego pisarza-podróżnika-awanturnika Jacka LONDONA. London jest jednym z tych pisarzy, którego nazwać musimy wychowawcą młodzieży. Siła człowieka fizyczna i etyczna, jego społeczność i oddanie, a nadewszystko bezprzykładna wiara w niego — oto, czego nas uczy London. Wierz w człowieka, ale wychowanego na łonie przyrody, bez konwencjonalnych grzecznostek, bez fałszu i obłudy drobnomieszczańskiej, w człowieka prostego, bezpośredniego! — nakazuje London w swych nowelach i powieściach. Oczyma człowieka szlachetnego, pełnego gorących porywów, spogląda na świat zwierzęcy dalekiej Klondyke, krainy złota i śniegu i pod postacią zwierząt tworzy charaktery ludzkie, wiernie, realistycznie.

Do najpiękniejszych jego książek należy bezsprzecznie ZEW KRWI. Książka o psie, a raczej o jego miłości do dobrego pana i sprawiedliwości jego. Na dalekich lodach śnieżno-mroźnej Północy wije się zajmująca epopeja dziejów psa i jego poświęceń.

Człowiek tylko na łonie przyrody poznać może, co to znaczy życie wolne, nieskrępowane i prawdziwe. Kurzawa Bellew we WYDZE jest właśnie typem człowieka, który ze zmanierowanego salonowca i bawidamka przeobraził się w człowieka pełnowartościowego, poznającego wszędzie co dobre, a co złe.

Cywilizacja niezawsze daje szczęście ludziom, a szczególnie „cywilizacja" zalatująca alkoholem, nienawiścią, chciwością. Szereg nowel właśnie w zbiorze ODDYSSEA PÓŁNOCY opowiada o straszliwych skutkach „dobroczynnej" cywilizacji Wschodu, która tu, na dzikim Zachodzie przemieniła spokojnie ze sobą żyjące plemiona w rozszalałe hordy, zabijające się nawzajem.

Do innego typu powieści Londona należy MARTIN EDEN. Jes to powieść o człowieku, walczącym o uznanie. Jest zarazem świetnym szkicem psychologicznym jednostki pochodzącej z nizin społecznych, obdarzonej wielkim talentem, wybijającej się na wyżyny życia. Jest to właściwie autobiografja Londona pisarza, który sam przeżył wszystko, co pisze.

By obraz twórczości Londona był pełny dodać należy jeszcze cały szereg powieści i nowel, jak:

NA SZLAKU, BÓG OJCÓW JEGO, PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA, SZKARŁATNA DŻUMA, ŻEGLUGA NA JACHCIE SNARK i wiele innych jeszcze.



Wydawca: Związek Skautowej Młodzieży Żydowskiej w Krakowie.
Redaktor odpowiedzialny: Ignacy Nichthauser.
Drukarnia Pospieszna pod zarz. A. Lehrhafta, Kraków, Pl. Dominikański 1.